

mixer

magazyn studentów

Prakowskiej Modrzewskiego



DAMSKO-MĘSKA GRA



Baby są jakieś inne. Bardzo często, ta z pozoru oczywista prawda, prowadzi mężczyzn na manowce niniemania o samych sobie. Wiemy bowiem doskonale, że to właśnie faceci są jacyś inni. Ale tak naprawdę nie ma to najmniejszego znaczenia. Dotarło to do mnie za sprawą pewnej niezwyklej osoby. Uświadomiłem sobie, że siłowanie się na jakieś pseudo-intelektualne wywody o relacjach damsko-męskich, będzie nie tylko pretensjonalne, ale może okazać się żałosne. Życie bowiem stawia nas w takich sytuacjach, że nie zależnie od tego, co wymyślimy, zawsze i w sposób najbardziej oczywisty, rzecz by można najbanalniejszy, potrzebujemy siebie nawzajem. Związki kobiet i mężczyzn dotyczą różnych sytuacji: chłopak i dziewczyna, mąż i żona, ojciec i córka, syn i matka, brat i siostra... Z jednej strony we wszystkich tych relacjach ludzie kochają, bywają szczęśliwi, są dla siebie podporą, z drugiej jednak wzajemnie się ranią, cierpią i czasami są dla siebie ciężarem. Potrafią zbudować coś wspaniałego, a innym razem całkowicie coś zniszczyć. Kluczem do sukcesu jest zrozumienie i zaakceptowanie prostego faktu, że jesteśmy inni. To, że diametralnie się różnimy jest piękne i jednocześnie twórcze. Mając w świadomości takie przekonanie, być może będzie nam łatwiej zdystansować się do infantylnych stereotypów o męskości i kobiecości, z większą otwartością spojrzeć na nasze wzajemne relacje. Razem stanowimy siłę, która może zmienić nie tylko nas samych, ale również otaczający świat. W tym miejscu pozostaje mi jedynie żywić nadzieję, że tu i ówdzie wyzierający patos nie zniechęci czytelników do zmierzenia się z tekstami tego zakręconego numeru i oddania się jak zawsze pożytecznej lekturze.

Jacek Cierniak

OD REDAKCJI... 2

TEMAT Z OKŁADKI

Kochanie, jest mecz... 3
Małżeńska szachownica... 4

TRENDY

Zostań Artkiem!... 6

KOMIKS

Skowyl poniżanych mężczyzn... 8

MOTORYZACJA

Motoryzacyjny bohater narodowy... 10

TRENDY

Magiczne mosty zakochanych... 11

SPOŁECZEŃSTWO

Tożsamość jednostkowa
w kulturze masowej... 12

miXer
magazyn studentów

REDAKCJA:

Redaktor naczelny:

Maciej Saskowski
macieksaskowski@op.pl

Zespół:

Jacek Cierniak
Dawid Dybiec
Jakub Harańczyk
Tomasz Krystyan (Neo Dark Lord)
Piotr Skwarczyński

Okładka

FOTOGRAF:

Patryk Tomaszewski
(mannequin-photography.pl)

MODELE:

Artur Biernat
Oriana Podlesny

Dtp i layout

Mateusz Janusz
(hussars.pl)

Adres

mixer_ka@interia.eu

Druk

Drukarnia KTE

Nakład

1000 egzemplarzy

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania tekstów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.

Dołącz do REDAKCJI

Pisz na adres: mixer_ka@interia.eu

facebook

Mixer magazyn studentów
Krakowskiej Akademii

Kochanie, jest mecz...

Rok 2012 jest niezwykle szczodry dla fanów sportowych emocji. Choć dla wielu wydawało się to niemożliwe, już za miesiąc, na polskich i ukraińskich murawach rozpocznie się trzecia, co do wielkości i prestiżu, impreza na świecie, czyli Mistrzostwa Europy. Niedługo po nich będziemy mogli emocjonować się imprezą numer jeden, czyli Igrzyskami Olimpijskimi. Czego chcieć więcej? Nie wszyscy jednak podchodzą do tego z tak wielkim entuzjazmem. Gdyby przyszło nam podzielić społeczeństwo na grupy, biorąc pod uwagę zadowolenie z tych wydarzeń lub też jego brak, na pewno w czołówce sceptycznie nastawionych znalazłyby się... kobiety.

Owszem, niektóre panie sympatyzujące ze sportem mogłyby się poczuć urażone takim stwierdzeniem, ponieważ nie można wrzucać wszystkich do jednego worka. Bądźmy jednak szczerzy – większość przedstawicielek płci pięknej nie jest zbytnio zainteresowana emocjami sportowymi, bo czyż nie jest od nich ważniejsza wizyta u kosmetyczki, plotki z najlepszą przyjaciółką czy ulubiony „babski” sport, czyli bieganie... po sklepach? Co jednak zrobić, gdy życiowy partner jest bez reszty pochłonięty przez wydarzenia sportowe akurat wtedy, kiedy ona pragnie porozmawiać, zwierzyć się, pobyć razem... Skąd my to znamy, panowie? Z pewnością każdy specjalista od związków międzyludzkich powiedziałby, że kluczowe jest wspieranie się nawzajem przy jednoczesnej wzajemnej akceptacji zainteresowań każdego z partnerów. O ile – z przyzwyczajenia – większość

pań może „przetrzymać” sezon rozgrywek ligowych, ligę mistrzów, o tyle ciężko przeboleć miesiąc emocji piłkarskich, a jeśli dochodzi do tego jeszcze druga impreza, staje się to trudne do wytrzymania. Walka nie będzie toczyć się wyłącznie na arenach sportowych, ale także w domu. Pilot stanie się najważniejszy. Większość panów pewnie już dziś w myślach snuje plan wyrwania się z domu i obejrzenia meczu w towarzystwie kolegów. Pamiętajmy jednak, że przeciwnik nie śpi i również obmyśla strategię, w jaki sposób wyrwać nas ze szponów sportowego oblędu.

Choć stare porzekadło o łapaniu dwóch srok za ogon naraz ma w sobie wiele słuszności, trzeba starać się pogodzić miłość do naszej partnerki z miłością do sportu. Może tym razem powinniśmy odłożyć na bok ironiczne dowcipy o teściowej i właśnie ją prosić o pomoc? Może w „gorącym” okresie zaprosi córkę do siebie lub wybiorą się gdzieś razem na „babski” urlop? Wtedy z pełnym przekonaniem będziemy mogli stwierdzić, że sport naprawdę zbliża ludzi. Nawet zięcia do teściowej.

Panowie i panie, do dzieła! Życzę nam wszystkim niezwykłych przeżyć oraz tego, abyśmy po zmaganiach sportowych powrócili do normalności bez zgrzytów i nieporozumień, o które będzie szczególnie łatwo w czasie trwania Euro i Igrzysk Olimpijskich. Zróbmy wszystko, aby i wilk był syty i owca cała.

Jakub Harańczyk



Małżeńska szachownica

Małżeństwo to grób miłości – tak zareagował Notker Weyrach na propozycję ożenku z Katarzyną Biberstein. Należy jednak przyznać, że dialogi i sentencje wypowiedziane przez bohaterów powieści Sapkowskiego, nie zawsze muszą być prawdziwe. Gro ludzi podejmuje decyzję o małżeństwie, nawet kilkukrotnie w swoim życiu. W wielu kulturach wielożeństwo jest jak najbardziej akceptowane. Biorąc pod uwagę zarówno kulturowe uwarunkowania, jak i fizyczne predyspozycje ludzi, spróbujmy stawić czoła przywołanej na wstępie opinii. Kultura, w której nas wychowano, od zawsze uważała małżeństwo za instytucję elementarną, mówiło się o nim jako o podstawowej komórce społecznej. Wielu z nas traktuje samo małżeństwo, a co za tym idzie budowanie rodziny, jako obowiązek albo co najmniej bardzo pożądaną stan. Według stereotypów małżeństwo daje stabilność, a dla niektórych posiadanie męża lub żony jest wręcz potwierdzeniem własnej wartości albo daje przekonanie o przydatności w społecznym funkcjonowaniu.

Oczywistością przynależną naszej kulturze jest również to, że małżeństwo zawieramy z jedną osobą na raz. Dawniej traktowano je dość ortodoksyjnie, nie tolerując rozwodów, a jeśli nawet już do nich dochodziło, zdarzało się to niezwykle rzadko. Na świecie żyje całe mnóstwo grup i społeczeństw, które uznają wielożeństwo i taki stan uważają za coś normalnego. Ponieważ funkcjonują dość sprawnie, na-

suwa się pytanie, które z tych rozwiązań jest lepsze. Jedna czy wiele żon? A może obydwa modele są równie uzasadnione? W naszej mentalności funkcjonują tak mocno zakorzenione schematy myślenia, że niektórym ciężko jest je przekroczyć, nawet tylko w czysto teoretycznym rozważaniu.

Pozwoliłem sobie zadać kilku osobom pytania na temat małżeństwa oraz ich stosunku do wielożeństwa. Z odpowiedzi wywnioskowałem, że potrzeba znalezienia partnera jest równoznaczna z chęcią posiadania go na wyłączność. Śmiem nawet twierdzić, że rytuał wzajemnego obrączkowania małżonków, wynika z woli oznakowania swojej własności. No dobrze, zagalopowałem się nieco, ale liczę na wyrozumiałość i poczucie humoru czytelników.

Kobiety bardzo często narzekają, że w małżeństwie muszą spełniać wiele ról, być jednocześnie sprzątaczką, kucharką, opiekunką do dzieci, wreszcie kochanką. O ile jednak obowiązkami typu sprząatanie, pranie, gotowanie i prasowanie, kobiety dzielą się chętnie, o tyle o dzieleniu się rolą kochanki absolutnie nie chcą słyszeć. Kiedy zapytałem znajomą o wielożeństwo, usłyszałem zdecydowany sprzeciw, a jako argument, stwierdzenie, że nie zgadza się na dzielenie się swoim... i w tym miejscu, przez kilkanaście sekund nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa, zastanawiając się czy powiedzieć „swoją własnością” czy „swoim mężem”. Dla mojej rozmówczyni najtrudniejsze do zaakceptowania byłyby przede

wszystkim intymne związki jej partnera z innymi kobietami. Jeśli chodzi o pozostałe aspekty życia, opcja podziału wchodziła w grę. Dostrzeganie braku logiki w wypowiedziach znanych mi kobiet, zostało mi wytknięte już tak wiele razy, że zrezygnowałem z dalszego drażenia tematu.

No tak, a co z mężczyznami? Przecież oni również zawierają małżeństwa i z taką samą determinacją skłonni są bronić prawa wyłączności w stosunku do swoich partnerek. Nie znam ani jednego, który zaakceptowałby fakt, że kobieta mogłaby, na przykład poślubić kilku mężczyzn jednocześnie. Jeden mógłby jej zapewnić dobrobyt materialny, inny dostarczyć uniesień duchowych, a kolejny ekscytacji fizycznych. Nie mamy jednak złudzeń, taki układ również nie jest do zaakceptowania, nawet przez dzisiejszych, nowoczesnych i wyzwolonych mężczyzn.

Dochodzimy wreszcie do tego, co decyduje lub przynajmniej ma znaczący wpływ na wstępowanie w związki małżeńskie. Mówimy rzecz jasna o miłości. Czymże jednak jest miłość, jeśli nie chwilowym zauroczeniem i fascynacją? Przecież miłości nie można ani przewidzieć, ani tym bardziej usankcjonować, choćby nawet przed ołtarzem. Czy w tym kontekście ludzie nieco na wyrost nie przysięgają sobie miłości na całe życie? Uczciwość i wierność to pojęcia dosyć klarowne, inaczej rzecz ma się z miłością, której zdefiniowanie przysparza nam wiele trudności.

Prawdą jest, że ludzie przeżywają wiele lat w monogamicznych związkach, które bardzo często przynoszą im satysfakcję i spełnienie. Ile jednak w tym naturalnej potrzeby, a ile kulturowej i społecznej nadbudowy? Też widzimy wokół nas toksycznych związków małżeńskich, których trwanie przynosi tylko gorycz i rozczarowanie. Ile na każdym kroku kobiet, które – niejednokrotnie słusznie – mają pretensję do swoich mężów o nudę, brak pomysłu i chęci na odejście od rutyny. Prawdopodobnie tyle samo facetów takie zarzuty kieruje pod adresem swoich żon. Może wystarczy tylko zadbać, aby w małżeństwie nie było nudno? Być może sami boimy się przyznać, że to, co kiedyś uznawaliśmy za miłość, zmieniło się w przyzwyczajenie i wygodne *status quo*.

Proszę jednak nie odnieść wrażenia, że czytam wywody osoby o zaburzonej moralności. Pozwalam sobie jedynie, z lekkim przymrużeniem oka, stawiać pytania, które dla wielu mogą wydać się niestosowne. Cóż jednak złego w rozmyślaniu nad pozornie oczywistymi rzeczami, budzącymi jednak tak wiele wątpliwości? Dla jednych sakrament małżeństwa to rzecz święta, dla innych – podpisanie dokumentu przed urzędnikiem państwowym. Gdzieś pomiędzy jesteśmy

my, ludzie, ze swoimi wątpliwościami, słabościami i pytaniami. O to, czy małżeństwo to efekt naturalnej potrzeby, społecznej konieczności, czy po prostu biznes, rodzaj swoistej transakcji wymiennej, w której jedni zyskują, inni tracą, poświęcając część siebie w zamian za inne, dla niektórych, równie ważne korzyści. Wszystko jest kwestią odpowiedniego ustalenia hierarchii wartości. To trochę tak, jak w znanym dowcipie o dwóch kolegach, którzy spotykają się po wielu latach. W pewnym momencie jeden z nich oświadcza, że po ślubie czuje się jak nastolatek. Zdziwienie i niedowierzanie kolegi kwituje stwierdzeniem: „Piję i palę po kryjomu”. No cóż, coś za coś. Kończę, ponieważ zbyt długi tekst jest jak żona, może zdenerwować, ale nie zaskoczyć. Prześpijcie się więc z nim jak z kochanką. Być może po przebudzeniu doznacie kaca moralnego, być może szybko o nim zapomnicie, ale kto wie, może zmusi do refleksji.

Jacek Cierniak



Sztuce potrzebna jest publiczność, bo to ona ożywia galerie, kupując prace utrzymuje artystów, czyta czasopisma kulturalne, dzięki czemu autorzy mają z tego chleb. Aby sztuka mogła się rozwijać, potrzebna jest jednak specyficzna publiczność. Ten krótki poradnik pomoże Ci, Czytelniku, stać się wykwalifikowanym człowiekiem sztuki – ARTKIEM. W kolejnych odsłonach będziesz mógł doskonalić swoje artkowe umiejętności poruszania się w świecie wielkiej sztuki.

ZOSTAŃ ARTKIEM!

Poziom podstawowy

Jesteś początkujący. Znajomy powiedział ci, że widział niezłą wystawę w największej galerii twojego miasta albo w najgorszym wypadku w muzeum. Idziesz i kupujesz bilet. Chwilę później zaczynasz już żałować swojej naiwności i kilku straconych złotych. Teraz już wiesz, że najczęściej w czwartki lub piątki wstęp jest darmowy. Najwyższy czas, żebyś się dowiedział, co to jest wernisaż.

Liga wernisażowa

Wernisaż to uroczyste otwarcie wystawy. Zależnie od prestiżu galerii i wielkości ekspozycji przychodzi nań od kilku do kilkuset ludzi. Jeżeli wystawia mało znana postać poza swoim miastem, nie może liczyć nawet na własną rodzinę i bliskich przyjaciół, co najwyżej zjawi się kilku przypadkowych gryziopiórków. Z kolei, jeśli prezentowany jest młody, obiecujący i przystojny artysta lub lubiany profesor, pojawi się zapewne na wernisażu gromadka sofizujących gimnazjalistek (sofizująca, czyli popijająca „Sofię” – obrzydliwy, najczęściej serwowany na wernisażach gatunek wina). Wielkie otwarcia w wielkich galeriach przyciągają zazwyczaj wielkie tłumy, często także przedstawicieli władzy albo korpusu dyplomatycznego.

Jak trafić na wernisaż? Zdarza się, że informują o nich gazety. Jeśli nie, to pod koniec tygodnia późnym popołudniem staraj się pokręcić koło galerii – jeżeli zobaczysz zbiorowisko, to znaczy, że się zaczęło. Na którymś z kolejnych wernisaży powinieneś przełamać nieśmiałość i zagadnąć artystę. Dowiesz się od niego, że każdy artek musi mieć swój rysunek (nie można go pożyczyć), Spójrz, jak ubrany jest artysta, następnym razem ubierz się tak jak on – na czarno. Wernisaż – wydawałoby się rzecz łatwa i przyjemna. Zachowaj jednak czujność. Potrzebujesz na przykład nie rzucającej się w oczy butelki do zlewania drinków. Mój typ to plastikowe buteleczki o pojemności 0,75 litra, a jeżeli mają wąską szyjkę – pamiętaj o lejkach! Po paru drinkach celuje się o wiele gorzej! Cennych wskazówek udzielają też wprawieni w tej praktyce ochroniarze zatrudnieni przez galerie.

Powoli możesz zacząć zawierać kolejne znajomości, staraj się zebrać ich jak najwięcej. Wymaga to jednak pewnej intuicji i delikatności, jeśli obstawisz nie właściwe osoby pozostaniesz na zawsze zwykłym sofistą – opitym wernisażowym żulem, wypełniaczem wernisażowego tłumu. Przede wszystkim musisz unikać jak ognia Artich. Arti to pretensjonalny typ udający artystę, zwykle już nie młodzieniec i niekoniecznie trzeźwy. Poznasz go też po tym, że źle i dużo mówi o innych artystach, sugeruje, że wystawa, na której się znajdu-

jecie, jest zupełnie nieudana, polscy kuratorzy zaś zawiązali spisek przeciwko dobrej sztuce i naumyślnie pokazują tylko jakieś niezrozumiałe instalacje. Kiedy zorientujesz się, że wpadłeś w sidła artiego (uważaj, oni lubują się w zaczepianiu i deprawacji młodzieży!), nie mów, wycofuj się powoli, potakująco kiwając głową.

Jeżeli szczęśliwie unikniesz tego i innych niebezpieczeństw, wkrótce doczekasz się awansu. Sympatyczna pani, która będzie się do ciebie uśmiechać, okaże się szefową galerii, w której byłeś na wernisażu tydzień wcześniej. To ona wyśle na twój domowy adres pierwsze w twoim artkowym życiu oficjalne zaproszenie na wernisaż. Oczywiście z niego skorzystasz i dalej pójdzie jak z płatka, a z miesiąca na miesiąc skrzynka pocztowa zacznie coraz częściej wypełniać się firmowymi kopertami z obiecującym stemplem „druk”. A to znak, że jesteś już artkiem. Ale to nie koniec. Jeżeli jesteś ambitny i czujesz, że miłość do sztuki gwałtownie w tobie wrasta, możesz zostać wielkim artkiem, czyli bankieterem.

Bankieterzy

Bankieter to najwyższy stopień artkowego wtajemniczenia. Jeżeli na otwarcie wystawy idziesz do zaprzyjaźnionej galerii (po roku artkowania z pewnością masz już takie galerie), musisz być przygotowany na to, że w końcu zostaniesz zaproszony na powernisażowy bankietek (wejście tylko za specjalnymi, ustnymi lub odręcznymi zaproszeniami). Czy zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego artyści żenią się z artystkami, a artystki wychodzą za mąż za artystów? Wszyscy oni znają się nawzajem właśnie z bankietów. Towarzystwo na nich jest już inne niż na wernisażach. Tu na ogół wszyscy się znają, bo są bankieterami, a bankieter to taki człowiek, który dziwi się, kiedy ty szeroko otwierasz oczy, słysząc, że on owszem zna osobiście: Mirka Bałkę, Zbyszka Liberę czy Kasię Kozyrę.

Bycie bankieterem bywa jednak niebezpieczne, wymaga od ciebie obycia towarzyskiego i wygadania. Może się bowiem zdarzyć, że w najbardziej przyjemnym momencie bankietu (podano właśnie ciepłe dania) ktoś zaczepi cię i zapyta co sądzisz na temat X lub Y, albo jak oceniasz ostatnią wystawę w galerii Z. Żeby nie wpaść w tarapaty musisz wykazać się umiejętnością robienia „poważnej miny”, ale też powinien umieć obracać własne wypowiedzi w żart (najlepiej śmieszny, uważaj tylko na artystów – oni na ogół nie znają się na żartach). Pilnuj, abyś w czasie bankietu nie stał samotnie, gdyż może przyplątać się do ciebie arti-bankieter, najbardziej niebezpieczny gatunek, ziejący złośliwościami i żółcią dawna gwiazda sztuki wysadzona z siodła (często profesor ASP). Wszystkie cechy artiego wyolbrzymione są u arti-bankietera, jeżeli tamten był zaledwie nietrzeźwy, to ten jest kompletnie pijany. Dla arti-bankietera wszystko wokół jest potworne, nie ma żadnej pozytywnej alternatywy, otoczenie, które przecież już zdążyłeś pokochać, opisuje wyłącznie wulgaryzmami. Strzeż się go, arti-bankieter potrafi odebrać apetyt i zepsuć najlepszą zabawę! Poza tym, jeśli jesteś początkujący i stoisz sam z przeladowanym żarciem talerzem, możesz zostać zauważony i uznany za bankietowego wirusa czyli osobę, która nieproszona wkręciła się na imprezę wyłącznie w celach konsumpcyjnych. Oczywiście, doświadczeni bankieterzy też

są wyłącznie w tym celu, ale nigdy nie dają po sobie tego poznać. Warto żebyś pamiętał o kilku drobiazgach, po których można rozpoznać zabląkanego na bankiet artka lub początkującego bankietera: częstuje się pieczywem (doświadczeni koncentrują się wyłącznie na daniach głównych); pakuje jedzenia do kieszeni, a trunki – jak na wernisażu – zlewa do plastikowej butelki (doświadczeni znają z góry dokładny rozkład wszystkich bankietów w tygodniu – nie muszą robić zapasów).

Na powernisażowych bankietach panuje naprawdę wspaniała atmosfera. Kiedy i ty osiągniesz stopień bankietera, pamiętaj (w ustach i intymnie), jak wiele osiągnąłeś, jak wiele osiągniesz i nasycenia może dostarczyć sztuka.

Maciej Saskowski



Skowyt poniżanych mężczyzn

Ból ponoć uszlachetnia i uodparnia, a jak dowodzą komiksy Erica Stanton'a – nawet podnieca. Amerykański rysownik Eric Stanton tworzący na styku komiksu i pornografii złamał tylko jedno, ale za to fundamentalne tabu: mężczyźni w jego komiksach nie byli już superbohaterami. Ich miejsce zajęły wysokie i silne kobiety o jędrnych piersiach, które poniżały mężczyzn na każdym kroku.

Wyobraź sobie kobietę w butach na bardzo wysokich obcasach, ubraną w obcisłe, skórzane spodnie i lateksowy gorset tak ciasny, że biust niemal wyskakuje jej na wierzch. Ma idealne kształty, którym nie sposób się oprzeć. Jest piękna, pożądana, a zarazem niepokojąco władcza. W rękę trzyma skórzany bicz. To domina – kobieta, dla której mężczyźni są niewolnikami, która może zrobić z tobą wszystko. Decyduj teraz albo uciekaj jak najprędzej, bo spotkanie z nią może być bolesne. Takiej próbie poddano studentów psychologii na jednym z amerykańskich uniwersytetów. Przed wejściem do sali tortur mogli zobaczyć z ukrycia swoją oprawczynię. Widzieli jaką jest piękna i zdawali sobie świetnie sprawę z tego, co może ich spotkać i czego mogą od niej oczekiwać. Ponad połowa studentów zrezygnowała. Pozostali (w tym także kobiety) gotowi byli na spotkanie z dominą.

FANTAZJE NA ZAMÓWIENIE

Eric Stanton jest autorem niezliczonych komiksów, rysunków, okładek czasopism, zdjęć oraz filmów. Publikował swe prace w niemal wszystkich erotycznych pismach w Stanach i na całym świecie. Ponoć 90% całej jego twórczości powstało na zamówienie prywatnych odbiorców, którzy wysyłali mu swe pomysły na komiksy. Osoba zamawiająca dostawała w zamian oryginalne rysunki, zanim cały komiks został opublikowany. Stanton zachowywał jedynie prawo do publikacji. Czasami zdarzało się jednak, że klient żądał całkowitej wyłączności, gdyż nie chciał, aby jego fantazje były udziałem innych osób.

Fabulę większości komiksów Stanton'a można sprowadzić do kilku prostych reguł: jest kobieta i nieposłuszny jej lub obrażający ją mężczyzna. Kobieta musi wymierzyć mu za to surową karę i nauczyć go posłuszeństwa. Pojawiają się również rozwinięcia innego schematu, np. mężczyzna, najczęściej typ „macho”, dostaje się w ręce dwóch kobiet, które zmuszają go do przebrania się w damskie ciuchy, a następnie biją go lub gwałcą. W taki sposób traktowały swoich niewolników Portia i Potentia, bohaterki serii komiksów *Tamazons*. Z kolei cykl *Prickazons* adresowany był do homoseksualistów i transwestytów. *Prickazons* były wysokimi kobietami o nie-



naturalnej wielkości biustach i równie imponujących penisach. Seria ta powstała na zamówienie indywidualnego klienta. Po pewnym czasie Stanton zdecydował się na ich masową publikację, ponieważ zorientował się, że zapotrzebowanie na Amazonki z penisami było wśród jego odbiorców dość duże.

Eric Stanton inspirował się na początku swej artystycznej drogi twórczością Johna Williego, legendarnego rysownika publikującego magazyn „Bizarre”. Ze względu na istniejącą cenzurę czasopismo to, poświęcone tematyce BDSM (Bondage Domination Sadomasochism), sprzedawano jako magazyn mody. Rysunki Stanton'a były publikowane w „Bizarre”, co stanowiło nobilitację dla młodego twórcy. W tym okresie były w dużej mierze czarno-białe i stylistycznie bardzo zbliżone do niemieckiego ekspresjonizmu. Na przykład *Bound In Leather* to historia trzech kobiet, które mają niezwykle słabość do bardzo obcisłych gorsetów, wysokich szpilek, skórzanych masek i wyrafinowanych, masochistycznych tortur. Co ciekawe, wtedy kobiety w jego komiksach ulegały dominacji innych kobiet

lub spełniały swe własne perwersyjne marzenia. Mężczyźni byli nieobecni lub przyglądali się wszystkiemu z boku, spełniając tylko ich prośby. O ile Stanton i Willie dzielili pasję do obcisłych, skórzanych ciuchów i butów na bardzo wysokim obcasie, o tyle z czasem rysunki Stanton'a stały się bardziej brutalne, a jego bohaterki bardziej agresywne. Mężczyźni w jego historiach zawsze konfrontowani są z kobietami, które ich poniżają i brutalnie gwałcą.

SZTUKA SIADANIA NA TWARZY

Stylistycznie komiksy Stanton'a wyróżnia niezwykła dbałość o szczegóły oraz umiejętność uchwycenia gwałtownych ruchów postaci. Kobiety Stanton'a to zawsze ponętne i dobrze zbudowane piękności, które noszą buty na szpilkach, mają ogromne dekolty lub przezroczyste bluzki i charakterystyczny grymas twarzy, który przyprawia mężczyzn o zawrót głowy. W *Bonnie And Clara*, będącym trawestacją klasycznego kryminału, Stanton z filmową wręcz finezją przedstawił historię narzeczonej gangstera i jej koleżanki, które próbują zmusić nieuczciwego prawnika, Abu oddał im ukradzione przez Clyde'a pieniądze. Prawnika za to oszustwo czeka szereg bolesnych tortur, łącznie z rzucaniem lotek w jego pośladki, niczym w tarczę.



czyżni niemal cały czas i w ogóle tego nie doceniają, a mężczyźni doświadczają go bardzo rzadko. Seks z kobietą, która leży na łóżku i którą trzeba zadowolić, mało mnie interesuje. Jestem mężczyzną, lubię walczyć i zdobywać. Tak się składa, że mnie bardziej podnieca bycie przegranym, a później wykorzystanym przez kobietę do jej własnej satysfakcji. Kiedy Stanton poznał swoją przyszłą żonę, wyższą od niego o kilka centymetrów norweską piękność, nie mógł uwierzyć własnym oczom: oto spotkał kobietę, żywcem wyjętą ze swoich komiksów. Namówił ją od razu na udział w krótkometrażowym filmie, w którym się siłowali. Oczywiście Stanton przegrał ten pojedynek, co zosta-

ło przypieczętowane przez jego żonę Britt triumfalnym siedzeniem w rozkroku na jego twarzy (tzw. facesitting – niemal każda bohaterka jego komiksów w ten sposób przygważdża swoje ofiary).

Niektórzy przypisywali Stantonowi feminizm – widzieli w jego pracach coś, o czym najbardziej zagorzale feministki czasem wstydyli się mówić. – Nie jest to żadna droga emancypacyjna dla kobiet – tważył dr Jerzy Szyłak, autor licznych publikacji o komiksie, m.in. *Komiksu i okolic pornografii*. – To, co robi Stanton, to fantazmat erotyczny. Rysuje piękne kobiety, które są w dodatku podłe i okrutne dla mężczyzn, ale cały

czas rysuje jako fantazje męskie. I owszem, w tym sadyzmie kobiet kryje się coś, co koresponduje z pewnymi tezami feminizmu. Pojawia się w nim koncepcja złych kobiet, które są atrakcyjne dla innych kobiet, ponieważ mają władzę. Pod tym względem Stanton jest powiązany z feminizmem, choć byłbym daleki od twierdzenia, że sam jest feministą. Weźmy pod uwagę zjawisko prostytucji sadomasochistycznej: jeżeli mężczyzna płaci za usługę, która polega na biciu go, to kto ma władzę – on czy kobieta, która go bije?

BARDZO MOCNE STRONY

Fetyszizm i skłonność do zachowań sadomasochistycznych, obecne w naszej kulturze od zawsze, teraz są szczególnie widoczne. Wystarczy spojrzeć na rynek muzyczny. Madonna w pewnym momencie swej kariery z potulnej dziewczynki zmieniła się w okrutną lateksową dominę, która potrafi zaważać każdym mężczyzną. Lady Gaga z powodzeniem mogłaby pozować do jednego z komiksów Stanton'a. Wszystkie girls bandy, lansujące hasło *Girls Power!* mają w sobie coś z bohaterek jego komiksów: są niezależne, wyzwolone i chcą mieć władzę nad mężczyznami. Ponadto wielu kreatorów mody garściami czerpie ze stylistyki BDSM, wystarczy przywołać Jeana-Paula Gaultier, który swoimi obcisłymi gorsetami przywrócił wspomnienia najlepszych tradycji komiksów erotycznych. A szpilki projektu Manolo Blanka? A sieć sklepów Ann Summers? Przemysł filmowy także inspirowany jest stylistyką BDSM. Aniołki *Charliego* złoją tylek każdemu przestępcy. *Barbarella* zniewoli każdego mężczyznę. W mieście kobiet pokazanym w *Seksmisji* ostatni dwaj mężczyźni mają być wykastrowani i zamienieni w kobiety. Nie wspominając już o prasie i wiecznie walczących publicystkach „*Cosmopolitan*”, które radzą swoim czytelniczkom, jak wychować sobie partnera. Co ciekawe, zakupiony przeze mnie egzemplarz komiksów Stanton'a zapakowano w kasie w reklamówkę z hasłem wyżej wymienionego miesięcznika: „Mocne strony kobiety”. Istotnie... bardzo mocne.

Maciej Saskowski



Postacie Stanton'a były zawsze bardziej rozebrane niż ubrane. Jednak rzadko zdarzało się, aby Stanton pokazał nagą kobietę – to raczej mężczyźni byli zupełnie nago. Unikał także okazywania aktów płciowych. Dobrze wiedział, że bardziej podnieca to, czego nie widać, a czego trzeba się domyślać. Świetnie rozumiał potrzeby swoich klientów pochodzących z amerykańskiej middle- i upper-middle-class. Oni chcieli widzieć takie kobiety, jakie patrzyły na nich z billboardów reklamowych, ekranów kin czy telewizorów, a których nigdy nie mogli mieć. Pragnęli ich tak bardzo, że byli gotowi na ból i cierpienie.

Psychologiczne uwarunkowania swojej twórczości autor wyjaśnił bardzo prosto w cytacie z przedmowy do kolekcji jego komiksów: *Jako niski i nieśmiały młody człowiek zawsze marzyłem o tym, aby jakaś silna i duża kobieta rozłożyła mnie na łopatki; zmusiła do uprawiania z nią seksu. W tym wszystkim chodzi jedynie o pragnienie bycia pożądanym – to samo, które kobiety otrzymują od męż-*

Motoryzacyjny bohater narodowy



Kiedy pojawił się na ulicach naszego kraju, był obiektem westchnień praktycznie każdego Polaka. Przez lata pełnił funkcję od samochodu rodzinnego, przez dostawczy, na terenowym kończąc. Fiat 126p, bo o nim mowa, produkowany był w Polsce od 1973 do 2000 roku. Łącznie z taśm produkcyjnych zjechało ponad trzy miliony sztuk popularnego „malucha”.

O ile w okresie PRLi każdy marzył o tym, żeby posiadać małego Fiata, o tyle po przemianach ustrojowych, coraz częściej stawał się obiektem drwin. Zapomnieliśmy o tym, co zrobiło dla nas i dla naszego kraju to małe autko. Powstało tysiące dowcipów, w których kpiono z jego niedoskonałości. Coraz częściej nadawano mu nazwy w stylu „kaszlak” czy „gorshe”.

A jak dziś postrzegany jest nasz „bohater motoryzacyjny”? W przypadku mojego pokolenia dla 90% „maluch” nie był ich pierwszym samochodem, ale znam kilka osób, dla których to auto ma „klimat”.

Postanowiłem to sprawdzić, umawiając się ze znajomym na wieczornego „szlifa”, właśnie takim „maluchem”.

Godzina 19:00, sobotni wieczór. Przez otwarte okno słyszę charakterystyczny głos „maluchowego” dwucylindrowca. Wsiadam do środka... a raczej próbuję to zrobić, coś trzeba było tyle nie rosnąć... Po chwili zajmuję w miarę komfortową pozycję, o ile można tu mówić o jakimś komforcie. Ciasno, głośno, a podczas pokonywania zakrętów ląduje na bocznej szybie lub na ramieniu kierowcy, co wcale nie jest przyjemne. Nie przeszkadzałoby mi to wcale, gdyby za kierownicą siedziała kobieta... Na początku widzę jedynie negatywy tego auta i zaczynam się zastanawiać, czy ten „szlif” był dobrym pomysłem, ponieważ przy każdym przekroczeniu zawrotnej prędkości 80km/h zaczynam zastanawiać się, czy wrócę cały i zdrowy do domu. W przypadku „malucha” poziom bezpieczeństwa jest pojęciem względnym. Pas na tyle słabo utrzymuje mnie w fotelu, że kolanami dotykam deski rozdzielczej, o ile ten kawałek plastiku można nazwać w ten sposób. Przeraża mnie perspektywa ewentualnego wypadku, a nawet drobnej stłuczki. Podczas uderzenia w tył samochodu dostanę w głowę silnikiem, a przy „czołowce” prawdopodobnie moje ciało zintegruje się z tylną kanapą.

Jednak po kilku kilometrach zaczynam czuć „klimat”. Naprawdę jest coś w tym błysku chromowanych zderzaków, lusterek – i to nie z plastikowego chromu, jakiego pełno na współczesnych samochodach. I bezcenne spojrzenia oraz podziw przechodniów. Pewnie niektórym z nich to auto przypomina młodość, pierwszą przygodę z motoryzacją, pierwsze własne cztery koła.

„Mały Fiat przetrwa jeszcze tysiąc lat...” – śpiewa pewien zespół. Czy tak będzie? Myślę, że tak, bo historia lubi się powtarzać, a „maluch” znowu staje się obiektem pożądania, tak jak przeszło 30 lat temu.

Dawid Dybiec

Fiat 126 – został wprowadzony do produkcji w 1972 roku we Włoszech, w Polsce rok później. Jego poprzednikiem był Fiat 500, a następcą Fiat Cinquecento. W Polsce produkowany w Bielsku-Białej oraz Tychach pod marką FSM. Ostatni „maluch” zjechał z taśm produkcyjnych w 2000 roku o nazwie Happy End (seria 1000 sztuk). Fiat początkowo posiadał silnik o pojemności 600cm³, a 1977 roku powiększono pojemność do 650cm³ obydwie jednostki były chłodzone powietrzem. Produkowany w czterech wersjach wyposażenia *Standard*, *Komfort*, *Special*, oraz w wersji dla inwalidów. W latach 1987-1991 powstawała wersja BIS z silnikiem o pojemności 704cm³. Główna różnica między zwykłym „maluchem”, a BIS-em polegała na zastosowaniu trzecich drzwi, dzięki którym samochód zyskał nadwozie typu hatchback z tylnym bagażnikiem o pojemności 110dm³. W 1985 roku przeprowadzono *facelifting* nadwozia, który wynikał z potrzeby dostosowania samochodu do norm europejskich (nowa deska rozdzielcza, szerokie plastikowe zderzaki). Kolejna modyfikacja została przeprowadzona w 1994 roku (delikatnie zmieniono nadwozie oraz układ elektryczny, zastosowano elektroniczny układ zapłonowy). 22 czerwca 2000 roku zakończono produkcję „malucha”. Samochód przetrwał w produkcji ponad 27 lat w niezmienionej formie.

Magiczne mosty zakochanych

Miłość do ukochanej osoby można wyrazić na wiele sposobów. Jednym wystarczy bukiet czerwonych róż, inni zadowolą się romantycznym spacerem po plaży. Trudno zliczyć metody, jakich używamy, aby utwierdzić kogoś o prawdziwości naszych uczuć. Chyba każdy, kto jest w związku, co jakiś czas odczuwa wewnętrzną potrzebę oznajmienia całemu światu, że ta konkretna osoba należy wyłącznie do niej lub do niego, i że – przynajmniej teoretycznie – tak pozostanie do końca życia. Ostatnio w Polsce coraz częściej zjawiskiem są tzw. „mosty zakochanych”. Moda ta przybyła nad Wisłę z takich miast jak Paryż, Wenecja, Praga czy Rzym. W Krakowie rolę takiego mostu pełni kładka Bernatka.

W tym wypadku przepis na wieczną miłość wydaje się prosty. Po pierwsze potrzebujemy kłódki (solidnej jak nasze uczucie) wraz z kluczykiem. Po drugie – niezmywalnego flamastra. Po trzecie i najważniejsze – ukochanej osoby – przy której nie zająkniemy się mówić o wspólnej przyszłości. Kiedy mamy już to wszystko, możemy przystąpić do właściwego działania. Wystarczy, że napiszemy na kłódce nasze imiona lub inicjały i przysięgając sobie miłość, przypniemy kłódkę do mostu (oczywiście kluczyk wrzucając do wody). Rytuał ten jest stosowany na znak trwałości uczucia, a par, które zdecydowały się na taki krok, zdaje się być coraz więcej. „Mosty zakochanych” wręcz błyszczą od wiszących na nich kłódek. Krakowski przykład tego coraz bardziej popularnego, magicznego miejsca, czyli kładka im. Ojca Bernatka to mostek pieszo-rowerowy łączący Kazimierz z Podgórzem. Obiekt za dnia nie rzuca się w oczy, nocą zaś błyszczy niczym diament, dodając miastu wyrazistości. Wszystko to za sprawą kolorowej iluminacji.

Pierwsze kłódki z wygrawerowanymi na nich imionami, datami, itd. zaczęły pojawiać się na kładce niedługo po jej otwarciu, czyli jesienią 2010 roku. Na wzór paryskiego Pont des Arts czy mostku nad Certovką w Pradze, Krakowianie stworzyli swój własny zakątek miłości. To tutaj dochodzi do romantycznych wyznań, pocałunków, a nawet zaręczyn. Gdzie lepiej oświadczyć się drugiej osobie niż w miejscu,

które wręcz zachęca nas do składania tak pięknych obietnic? I choć z pewnością nie wszystkim parom przysięgającym sobie na kładce miłość udało się przetrwać próbę czasu, to obietnica złożona wśród dziesiątek, a nawet setek kłódek, będących niemyym symbolem trwałości związku, musi do czegoś zobowiązywać. A skoro mowa o tych, którym się nie udało... Nie wszystkie kłódki wiszące na „mostach zakochanych” zachowały się w idealnym stanie. Wiele z nich zostało całkowicie zniszczonych lub wyrwanych, co może świadczyć o desperackich atakach wandalizmu osób, których uczucie wygasło. A przecież takie niszczenie niesie ze sobą dodatkowe zagrożenie dla samej konstrukcji mostu. Z drugiej strony, nie od dziś wiadomo, że zraniona dusza potrafi zrobić wiele rzeczy – nie zawsze mądrych.

Według legendy zwyczaj wieszania kłódek na mostach został zapoczątkowany we Florencji, jednak rytuał ten najbardziej spopularyzował włoski pisarz Federico Moccia w powieści *Ho voglia di te* (*Tylko ciebie chcę*) z 2006 roku. Od tej pory na całym świecie, jak grzyby po deszczu, pojawiały się kolejne mosty i kładki, będące ikoną nieprzemijającej miłości. A zawieszane na nich kłódki – o różnych kolorach i kształtach, wkomponowały się w nie na dobre, stając się ich integralną częścią.

Jakiś czas temu na kładce Bernatka doszło do niecodziennego incydentu. Pewien młody człowiek postanowił przebiec most – nie uczynił tego jednak w sposób, jaki wybrałaby większość z nas. Ów mężczyzna przebiegł bowiem po górnym łuku kładki – nawiasem mówiąc, zbudowanym ze starych rur gazowych. Nie wiadomo, co było przyczyną tego niezwykłego joggingu. Być może chodziło o zakład, chęć podniesienia adrenaliny, a może wpływ na to miała zwykła ludzka głupota? A może po prostu człowiek ten nie zadowolili się zawieszoną na moście kłódką i w ramach swoistego „ bonusu” zdecydował się na ten szalony wyczyn, aby dodatkowo zaimponować ukochanej. Wszyscy przecież wiemy, że zakochani w imię miłości są w stanie zrobić niemal wszystko.

Piotr Skwarczyński



Tożsamość jednostkowa w kulturze masowej:

seksualność i przynależność płciowa to nakaz społeczny czy wybór indywidualny?

Z chwilą pojawienia się pomysłu o podziale majowego numeru na dwie sekcje – „podwiązkową” i „slipkową” – przyszła mi do głowy myśl, czy może raczej spontaniczna refleksja, iż grupa transpłciowa, niezadeklarowana, bojowo nastawiona wobec plemiennych klasyfikacji płciowych nie będzie miała w owym wydaniu swojej należytej reprezentacji!

Z tego powodu dedykuję niniejszego „gryzmola” tym, którzy całymi latami są pomijani, etykietowani oraz nierozumiani z winy niedostosowywania się do normatywnych założeń płciowych, tworzonych na bazie przeterminowanych przesłanek, kształtujących naszą tożsamość jednostkową w dobie kultury masowej.

Zalecam więc, aby wszelkiej maści alternatywne gatunki *homo sapiens*, czyli kibole – niezależnie od orientacji klubowej, narodowej, neofaszyści i inni członkowie ruchów „normalnościowych”, konserwatyści fanatycznie sympatyzujący z biegunem prawicowo-katolickim, jak również chałmy knajpiane, tudzież mszalne, wprawione w szermierce na kije, parasolki, sztuczne szczęki, kławy i reklamówki z supermarketu, poważnie rozważyły ewentualną ewakuację. Nie zastosowanie się do powyższego ostrzeżenia może objawić się zespołem „galopującego” jelita oraz przykrą w skutkach dla otoczenia i stanu czystości płytek chodnikowych ekspresją światopoglądowej frustracji, swoistą zgagą od nieprzetrawionej ze zdrowym dystansem treści.

Podjęmując temat tożsamości należy najpierw odpowiedzieć sobie krótko na pytanie, czym ona jest, aby uniknąć zgubnej, aczkolwiek na co dzień bardzo wygodnej intuicyjności sądów: „Wydaje mi się, że...”, „Podobno...”, „Chyba...”.

Otóż, tożsamość określana językiem ontologicznym może być rozumiana jako stan spójności wewnątrzbytowej, przejawiający się wprost „byciem tym, czym się jest” – co odnosi się zarówno do przedmiotów (bytów pasywnych), jak i do podmiotów (bytów ak-

tywnych), tak istniejących, jak i możliwych. Owo „bycie sobą” nie jest dane raz i na zawsze, ale podlega ciągłym oraz dynamicznym procesom weryfikacji, modyfikacji, porównywania, wylaniania, odkrywania, ustanawiania...

Z perspektywy psychologii osobowości tożsamość jest subiektywnym poczuciem swojej odrębności, niezależności względem innych bytów bądź ich zbiorów (narodów, kultur, ras, płci); poczuć, że „jakimś się jest”, „kimś się jest” i ma się jakieś cechy osobnicze. Wyodrębnić więc można zarówno tożsamość indywidualną, osobową, podmiotową, jak i społeczną, w której zawiera się informacja o komunikacie zwrotnym, w jaki sposób opinia danej społeczności kształtuje indywidualne postrzeganie każdej osoby.

W ujęciu podmiotowym tożsamość jest to *swoista* dla danego bytu, czyli właściwa tylko jemu *konfiguracja* jego immanentnych (endogennych) oraz nabytych (egzogennych) *własności* bio-psycho-społecznych, poprzez które ów byt może być definiowany jako odrębny, różny od pozostałych obiektów tego samego rodzaju, co czyni go pośród nich niepodważalnie wyjątkowym oraz w pełni reprezentatywnym jedynie dla samego siebie.

Kontynuując wątek jestestwa, muszę nadmienić, iż świadomość tego, że nie dostrzegamy w ogóle potrzeby zastanawiania się nad problemem, jacy mamy być, aby być sobą, zadając sobie tylko sporadycznie pytania: „Kim i jacy jesteśmy we własnych i w czyichś oczach?”, sprawia mi olbrzymi dyskomfort.

W tej materii można przyjąć co najmniej dwie koncepcje tłumaczące zjawisko „bycia jakimś”: nurt kreacjonistyczny oraz, nazwijmy go roboczo, nurt systemowy.

Pierwszy zakłada ingerencję z zewnątrz powodowaną kaprysem „magicznego dziadka”, który lepiąc sobie z gliny, piasku, kurzu, wody i innych smakochków, stworzył żyjątko zwane człowiekiem. W zależno-

ści od tego, jakiego boga powołamy do życia w naszych baśniolubnych umysłach, takimi stajemy się zgodnie z „jego” wolą lub na „jego” obraz. Tym samym jeśli grupa rolników zbierze się nad kwaśnym mlekiem, by postanowić – puszczając przy tym radośnie gazy i urozmaicając sobie wieczór snuciem dub i baji – iż człowiek z natury jest ukierunkowany na pociąg do owiec i płci przeciwnej, to homoseksualizm, niemęska męskość czy niekobieca kobiecość pozostaną niezgodnymi z „wolą” boga wynaturzeniami oraz „chorobami duszy”. Co rzecz jasna dla osoby wyrosłej na wartościach pozytywistycznych i docieklivej chociażby w minimalnym stopniu, przypomina bardziej spekulowanie o końcu świata i jego dokładnej dacie, niż godne uwagi założenia poparte jakimikolwiek dowodami empirycznymi.

Drugi mówi o współzależności czynników biologicznych (genów, chromosomów płciowych), psychologicznych (temperamentu, osobowości, inteligencji) oraz socjologicznych (wzorców środowiskowych, relacji interpersonalnych i grupowych, systemów normatywnych) w kształtowaniu tego, co nazywamy „byciem sobą”. Część z nich jest w pełni wrodzona, czyli niezależna od naszej kontroli, część – wtórnie przekazywana wraz z kodem kulturowym, co powoduje, że nawet nie zdajemy sobie sprawy z jej posiadania. Jest jeszcze drobny czynnik, który wiąże się z naszym zaplanowanym i świadomym udziałem. Wspomnę o nim dopiero na końcu.

Ale po co ja właściwie o tym piszę, skoro miałem zająć się tematem płci i seksualności? Otóż elementarną składową naszej tożsamości jest tożsamość płciowa, która w znacznym stopniu konkuruje o pierwszeństwo w „Ja” z takimi globalnymi kategoriami jak tożsamość gatunkowa czy poczucie przynależności rasowej, kulturowej, narodowościowej... Fakt tak silnego wpływu tożsamości płciowej potwierdza brak rzetelnych dowodów na to, aby w jakiegokolwiek epoce negowano fakt istnienia podziału na płci. Trudno jest znaleźć okres w historii ludzkości, w którym nie byłibyśmy zaabsorbowani dobieraniem się na zasadzie podobieństw, a separowaniem i zwalczaniem na podstawie domniemyanych różnic.

Za każdym razem, gdy toczy się dyskusja światopoglądowa na temat, jak należy definiować rolę płciową, co znaczy prawdziwa kobiecość i prawdziwa męskość, mam ochotę stanowczo zareagować. Podobnie, gdy słyszę religijne i bzdurne dywagacje dotyczące kwestii, co było pierwsze: kobieta czy mężczyzna; oraz szowinistycznie i prostackie dowcipkowanie o tym, jak druga strona ma źle poukładane w głowie i życiu, jak bardzo się od nas różni. Całokształtu nie poprawiają również okoliczności, gdy dane jest mi wbrew moim zamiarom, przedzierać się przez absolutnie kretynskie komedie romantyczne propagujące upośledzoną intelektualnie, ludyczną filozofię dwóch rodzajów ludzkości: wenusjańskiej i marsjańskiej oraz ich wzajemną grę w nieustające od wieków podchody...

Czy więc neguję istnienie powszechnego podziału na dwie płcie biologiczne? Oczywiście, że nie! Czy uważam, że różnice między nimi są fundamentalne, a obopólne porozumienie niemożliwe, ponieważ NIKT nie wie, jak MYŚLI druga strona? Absurd i ignorancja! Z medycznego oraz psychologicznego punktu widzenia różnice między kobietami i mężczyznami (w świetle przedstawionych czynników determinujących różnice indywidualne, których istnienie zasygnalizowałem wcześniej) są tak samo mało znaczące, jak pomiędzy kobietami, mężczyznami, żółwiami, itd... Wskazywanie na różnice płciowe ze względu na wielkość mózgu, poziom IQ, konkretne sprężności jest wysoce nieuprawnione, ponieważ wszyscy jesteśmy jednym gatunkiem: *homo sapiens sapiens*.

Stanowisko feministyczne zakłada jednak fundamentalne różnice w wychowaniu, które kładzie nacisk na postrzeganie pewnych modeli społecznych jako adekwatnych, zaś innych jako sprzecznych z naturą dziecka konkretnej płci. Udowodniono bowiem, że samo wychowanie ma mniejszy wpływ na młodą jednostkę, aniżeli grupy rówieśnicze czy wzorce społeczne, od których przejmuje pewne schematy płciowe, postawy czy światopogląd, kładąc akcent na „wektor” w wychowaniu, a nie na samo wychowanie.

Drażni mnie taka postawa przedstawicieli jednego gatunku, która wznosi kamienne mury, stawia zasieki i podsyca stereotypy; operuje chłopskim rozumowaniem, ma na uwadze wyłącznie walkę o władzę, zemstę, rozładowywanie frustracji, plemienne podziały na „Onych” i „Swoich”; w końcu, która opiera się na nieuprawnionej generalizacji oraz emocjonalnym przywiązaniu do własnych jaj... czy to wewnętrznych czy zewnętrznych. Jaka to przekłeta różnica?

Zarówno kobiety, jak i mężczyźni mogą interesować się każdą, dowolną dziedziną życia i dlatego zdania: „Moja dziewczyna lubi oglądać mecze” lub „Mój chłopak jest osobliwie wrażliwy” wcale nie muszą być nonsensowne, abstrakcyjne, *science-fiction* i nie mieć potwierdzenia w rzeczywistości. Zdarzają się osobnicy i osobniczki odstający od stereotypowego, szablonowego, obrzydliwie nudnego wzorca męskości/kobiecości, ale trudno oszacować, czy ich liczba jest stosunkowo niewielka za sprawą represyjnej kultury, wymagającej praktykowania wzorców płciowych czy ich natury (jeśli nawet, to jakiej: płciowej czy ludzkiej, według której jesteśmy stadni, co wpływa na to, że większość z nas to bezmyślni konformiści, naśladowujący innych w czym się da).

Oczywiście, pomimo wszelkich wysiłków, nadal pozostanie obecna między nami duża grupa ludzi, chcących potwierdzić swoje miejsce na ziemi oraz sensowność dotychczasowej typologii płciowej.

Ubzduraliśmy sobie, iż po 9 miesiącach oczekiwania, dziecko wkracza do „obiektywnie” określonego świata jako karta perforowana, z zapisem osobowości oraz określnikiem płciowym na swoim świeżo otwartym koncie, z którego należy jedynie dokonać pierwszej wypłaty, a potem jakoś pójść. Inaczej mówiąc – mamy delikatnie kierować i wspomagać dziecko na wyznaczonej mu boskim palcem ścieżce.

Tej logiki nie trzyma się natomiast definiowanie homoseksualizmu, który według wielu troglodytów w dalszym ciągu jest postrzegany jako wtórna patologia, efekt zaburzenia psychicznego, złego wychowania, barbarzyńskiej moralności, niewłaściwych wzorców czy czegośkolwiek innego, na co można by mieć wpływ.

Na koniec zadam zagadkę: „Bardzo lubię blask biżuterii, zwłaszcza złotej. Nie przepadam za grubymi niczym pęta kielbasy łańcuchami na szyi oraz krótkimi włosami. Lubię często zmieniać fryzury, podobać się innym, flirtować, prowokować i zwracać na siebie uwagę. Nie znam się na samochodach, a sporty zespołowe oglądam w telewizji wyłącznie okazjonalnie. Nie chodzę na mecze, nie kibicuję, ale potrafię zareagować krzykiem, gdy coś lub ktoś mnie rozżłości. Moim ulubionym kolorem jest kasztanowy i marzy mi się, że kiedyś w takim kolorze urządzę swoje mieszkanie. Moją ulubioną piosenką jest *Dreams* zespołu The Cranberries, a porą roku – zima, ponieważ lubię, gdy rano jest mi ciepło pod koldrą. Jakiej jestem płci?”

Zanim odpowiecie, uwaga na zbyt nisko zawieszony pod stropem młot, wbijający Wam do głowy seksualno-normatywne herezje, bo cóż to są za „kryteria” rzekomo przynależne płci?

Czynnik tożsamości zależący od naszego świadomego postępowania ujawnia się wtedy, gdy nie chcemy reprezentować sobą stereotypowego wzorca płci, demonstrowanego przez ekspozowanie spoconej klaty i zgolonej na ziemniaka głacy, lub chód z pośladkami na wierzchu krokiem paralityka na 15 centymetrowych szpilkach. Daje o sobie znać wówczas, gdy nie damy sobie wmówić, iż coś jest zarezerwowane wyłącznie dla płci przeciwnej, a nam nie wypada czy nawet wstyd jest upominać się i tęsknić za daną rzeczą, postawą, choć oko aż się świeci, a uśmiech poszerza. Czy jako byty pretendujące do miana czegoś więcej niż zwierzęta, wykroczymy poza ramy behawioru zwierzęcego, i nie ograniczając się do wzajemnego obwąchiwania, przejdziemy na wyższy poziom ewolucji, na którym to człowiek decyduje o obowiązującej kulturze i poglądach, a nie one o tym, jaki ma być człowiek. CZŁOWIEK! Nie kobieta czy mężczyzna!

NEO DARK LORD